

## Indonezja. Tam, gdzie czas się nie liczy

Pan Subakat, dobrze po pięćdziesiątce, siedzi w plastikowym krześle na werandzie swojego prostego, choć dobrze utrzymanego domu. Prowadzi kwaterę dla śmiałków, którzy zdecydowali się zjechać z utartego szlaku turystycznego prowadzącego przez Jawę, by udać się do "najlepiej dostępnego parku narodowego w Indonezji", jak głosi popularny przewodnik. Baluran, gdzie znajduje się jedyna w tej części świata sawanna, zajmuje północno-wschodni róg Jawy, zaraz obok ruchliwej szosy łączącej przemysłową metropolię Surabaja z terminalem promowym z Banyuwangi - wrotami do Bali.

Tego słonecznego, gorącego popołudnia, właściciel kwatery przygląda się pracy dwóch robotników, którzy z uporem czyszczą i polerują stary mur jego podwórza. Od czasu do czasu pozdrawia (lub przyjmuje pozdrowienia) od znajomych, głównie mężczyzn, przejeżdżających ulicą na skuterach lub pociężarówkach. Z kuchennego okna dochodzą metaliczne, nieregularne dźwięki: to jego żona i córka przygotowują kolację. Na tej szerokości geograficznej zmierzch zapada bardzo szybko i już około ósmej niebo zapełnia się niezliczonymi gwiazdozbiorami południowej półkuli. Cykady rozpoczynają swój nocny koncert. Rutyna bardzo prostego życia. Baluran napotkaliśmy na swojej drodze po tygodniu naszej trzytygodniowej podróży do Indonezji i Singapuru w sierpniu 2013 roku. Naprawdę trudno jest podsumować kraj o skali Indonezji w pojedynczym artykule. Ze swoimi tysiącami wysp i ponad 240 milionami ludzi, kraj ten łatwo wymyka się wszelkim próbom opisu czy syntezy swojego potencjału, różnorodności i piękna. Nie zważając na tę trudność, wezmę pod lupę zaledwie jedną z wielu twarzy Indonezji. Tą, która zaabsorbowała moje myśli na dłużej. Mianowicie, w jaki sposób kraj ten ignoruje poczucie czasu.

Zaczynamy naszą przygodę w Dżakarcie, tej niesamowicie gorącej, wilgotnej i przeludnionej betonowej dżungli, która bezsprzecznie króluje nad Jawą, niezależnie od tego, jak trudno jest sobie wyobrazić, by pojedyncze miasto mogło w ogóle sprawować rządy nad tak rozrzuconym terytorium, jakim jest Indonezja. Dżakarta jest jednym z tych miejsc, które wciąż skrywają ślady dawno minionej ery holenderskiej kolonizacji. Dawno temu, europejcy osadnicy postanowili zbudować tu system kanałów, który przypominałby im ich rodzinną Holandię. Chyba nie przewidzieli jednak, że w tropikalnym klimacie kanały przysporzą ludzkim oczom (i nozdrzom) wszelkich możliwych doznań, poza tym romantycznymi i bliskimi sercu. Dzisiejsza Batawia, była dzielnicą kolonialna Dżakarty, szczyli się starym, tradycyjnym holenderskim mostem zwodzonym, przewieszonym nad kanałem wypełnionym brudną, cuchnącą wodą, wyglądającym tak, jakby służył za ściek dla całego miasta. Najbiedniejsi z biednych próbują utrzymać się przemierzając ten rynsztok w prymitywnych łódkach w poszukiwaniu odpadów zdatnych do odzyskania. Stojące po jego brzegach stare kolonialne budynki zachowały jedynie cień swojej dawno minionej, pańskiej godności. Pod niemiłosiernym południowym słońcem lokalny handlarz próbuje nakłonić turystów do przejażdżki na jednym ze swych staromodnych holenderskich rowerów. Charakterystyczne kapelusze, podobne do tych noszonych kiedyś przez Livingstone'a i Stanley'a, dostaje się gratis.

W przeciwieństwie do nowoczesnych metropolii Azji, Dżakarta jeszcze nie dorobiła się wydajnego systemu masowego transportu miejskiego. Na potrzeby codziennej podróży do pracy, mieszkańcy muszą polegać na rzadkiej sieci pociągów podmiejskich oraz

charakterystycznych autobusów pozbawionych wiodących do nich schodków, a "ładowanych" za to pasażerami przy pomocy wysokich peronów specjalnie zbudowanych na przystankach. Wypuszczając chmury czarnego dymu, z pasażerami zwisającymi z otwartych drzwi, zdezelowane autobusy przemierzają szerokie aleje nieustannie wypełnione dziesiątkami tysięcy samochodów i motocykli, tworzących gigantyczne korki w godzinach szczytu.

Łatwo zinterpretować ten obraz jako twarz Indonezji usiłującej dogonić szybko rozwijające się, uprzemysłowione gospodarki regionu, podążające przed siebie w myśl zasady "dorób się teraz, posprzątaj później". Ale zaledwie kilka kroków od zatłoczonych ulic i wznoszących się wzdłuż nich niesamowitych wieżowców, łatwo można natrafić na bardziej typowe oblicze stolicy. Główny plac miasta, otoczony rządowymi budynkami, główną stacją kolejową oraz nowoczesnymi biurami, absorbuje uwagę dzięki narodowemu monumentowi zajmującemu sam jego środek: olbrzymiej, betonowej pochodni. Co jednak naprawdę przyciąga wzrok, to gromady policjantów i żołnierzy wyglądających tak, jakby na stałe koszarowali w parku. Ich ciężarówki zaparkowane w rzędach, ze zdjętymi butami i uśmiechami na twarzach, żołnierze chętnie pozdrawiają przechodzących obok cudzoziemców. Południowa mañana.

Tak jak w wielu miastach tego regionu, życie naprawdę rozbrzmiewa dopiero po zmierzchu. Setki małych barów i skromnych restauracyjek rozstawionych na otwartej przestrzeni wypełniają się ludźmi zasiadającymi nad porcjami pieczonego kurczaka, pierogów czy *nasi goreng*. Siedząc na ziemi, miejscowi jedzą z małych stolików. Przyglądam się parze młodych ludzi, prawdopodobnie na randce, siedzących przy stoliku oddalonym o zaledwie kilka metrów od mojego. Po drugiej stronie podwórza mężczyzna śpiewa lokalne piosenki, przygrywając sobie na keyboardzie. Ludzie przychodzą, jedzą, rozmawiają. Powolna, prawdziwa Azja.

Następnego dnia wyruszamy w podróż pociągiem do "kulturalnej stolicy Jawy", Jogjakarty, do której docieramy po kilkugodzinnej wyprawie wzdłuż pól ryżowych, plantacji palmowych oraz niezliczonych miasteczek i wiosek. Na zawieszonych w każdym wagonie monitorach lecą nie tylko filmy, ale i spoty reklamowe, także te promujące ASEAN czy APEC. Te ostatnie powtarzają się najczęściej. Znana jako "Jogja", cel naszej podróży to centrum jawajskiej turystyki, skoncentrowanej na starożytnych świątyniach tego wulkanicznego płaskowyżu. Dawno temu owe równiny były domem dla pradawnych kultur, które pozostawiły po sobie zadziwiającą buddyjską świątynię Borobudur, największą buddyjską budowlę na świecie, oraz mistyczny hinduistyczny kompleks Prambanan. Ostatecznie twórcy tych arcydzieł zmuszeni byli uciekać z Jawy w czasach, które my nazywamy średniowieczem, w wyniku zniszczeń spowodowanych erupcją pobliskiego wulkanu Merapi. Jego majestatyczny kształt do dziś góruje nad płaskowyżem, a jego rozerwany stożek oraz strużka dymu wydobywająca się z krateru ciągle świadczą o ostatniej erupcji, która w 2010 roku pokryła przyległe równiny kilkoma centymetrami popiołu. Wieki temu znacznie silniejsza erupcja całkowicie przykryła pyłem świątynię Borobudur oraz powywracała strzeliste wieże Prambanan niczym budowle z klocków.

Udajemy się do Borobudur o świcie, kiedy promienie słońca powoli budzą ze snu symetryczne kształty tarasów świątyni, rzucając cienie na kamienne reliefy i wznoszące się

coraz wyżej stupy. Pośród wiejskiego, górzystego krajobrazu, świątynia wygląda zaskakująco spokojnie (przynajmniej dopóki nie zjawia się hordy turystów), po cichu snując historię pokoleń wiernych zmierzających ku swojemu oświeceniu po schodach wielkiej świątyni. Na dzisiejszej Jawie prawie nie ma już dziś buddystów, podobnie jak i hinduistów, którzy przenieśli się na Bali kilkaset lat temu. Ostre szczyty świątyń Prambanan, choć wciąż robią wrażenie, są już tylko cieniem swojej dawnej chwały.

Jak wspominałem, Jogja jest centrum turystycznym, gdzie znalezienie lokalnej agencji gotowej do zorganizowania dalszej podróży jest zaledwie kwestią minut, bez potrzeby specjalnego targowania się. I można im zaufać. Bez trudu znajdujemy minibus z kierowcą i następnego ranka wyruszamy na wschód. Asfaltowa droga, jedna z dwóch głównych arterii wyspy podążających z zachodu na wschód, ciągnie się przez niekończące się miasteczka i wsie (jako że większość z 240-milionowej populacji Indonezji żyje na Jawie). Za oknem wciąż to samo: mężczyźni śpiący przy drodze w południowym upale, zaspani pasażerowie zamawiający jedzenie w przydrożnych knajpkach, podczas gdy ich kierowcy modlą się w pobliskich meczetach czy pokojach modlitwy. Kiedy dobrze po zmierzchu docieramy do Probolinggo, celu naszej podróży, kierowca nagle zatrzymuje samochód i wychodzi pospiesznie, biegnąc wprost do toalety, a następnie na wieczorna modlitwę. Bez słowa pożegnania, gnany jedynie nakazami rutyny.

Skarby Indonezji najlepiej smakują o świcie, kiedy pierwsze promienie słońca, w ciszy, ciepłości i odrobinie magii budzą do życia lokalne atrakcje. Jest to tak samo prawdziwe w odniesieniu do świątyni Borobudur, jak i wobec spektakularnej scenerii parku narodowego Bromo-Tengger-Semeru w północno-wschodniej Jawie. Jego zastygły, księżycowy krajobraz pochłania przybysza bez reszty, pozbawiając go tchu, kiedy ostre kontury trzech wulkanów, z których dwa wciąż pozostają aktywne, zaczynają się wyłaniać w bladym blasku dnia. Z punktu widokowego zjeżdżamy potem przez wulkaniczną pustynię terenowymi samochodami aż do podnóża góry Bromo. Wspinamy się do szczytu jej szerokiego krateru, otoczeni przez niezwykłe widoki pełne szarego kurzu, brązowych skał oraz porannych mgieł rozciągniętych na wzgórzach i przykrywających opuszczony klasztor. Prawdziwie ponadczasowe doświadczenie.

Podróżowanie przez Indonezję jest łatwe, przynajmniej w bardziej zaludnionych obszarach tego wielkiego kraju. Jednakże kiedy transport publiczny okazuje się zbyt powolny (lub zbyt zatłoczony) w stosunku do naszego tempa podróżowania, wynajem prywatnego samochodu z kierowcą zawsze jest opcją. Można się przy tym spodziewać przypadkowej kontroli policyjnej, podczas której funkcjonariusze domagają się łapówek od swoich rodaków zarabiających na cudzoziemcach: dokładnie to spotkało mnie na Bali. Tymczasem nasza podróż z Probolinggo do Baluran okazała się spokojna i łatwa. Słuchając hitu tamtego lata, *I'm so lonely broken angel* Arasha, pędzimy drogą, na której nie wydają się obowiązywać żadne przepisy. Kiedy nasz kierowca proponuje mi sprawdzenie swoich sił za kierownicą, upewniam się, że zrozumiał moje stanowcze, choć uprzejme "NIE!". Gratuluję każdemu Europejczykowi, który okazałby się wystarczająco sprawny i odważny, by prowadzić w tym koszmarnym, indonezyjskim ruchu.

I tak, przemierzamy sawannę Baluran na skuterze wypożyczonym od naszego kwatermistrza. Baluran pozwala nam uciec od popularnego szlaku turystycznego, którym do tej pory

podróżowaliśmy. Po odwiedzeniu Bromo, większość turystów zmierza wprost na Bali. Dzięki temu, jedyna w Indonezji sawanna pozostaje niemal zupełnie pusta, a jej jedynymi lokatorami zdają się być jelenie czy bawoły, okazjonalnie pokazujące się u wodopoju, oraz małpy, otaczające ludzi stadami. Górąjący nad równiną zastygły wulkan kryje w swoim kraterze dziewiczy, tropikalny las. Zaginiony Świat. Tak jak park narodowy Bromo przypomina pustynne szczyty Andów, a zamieszkający go lud Tengger wygląda jak Peruwiańczycy, tak Baluran pozwala się poczuć jak w Afryce. Jeśli zaś chodzi o miejscowych, to dzięki nim łatwo uzmysłowić sobie, że przebywamy w kraju rozwijającym się. Wkrótce po opuszczeniu samochodu i zakwaterowaniu się w Baluran zauważam, że zostawiłem w samochodzie swoje okulary słoneczne - bez nich ani rusz w tym słońcu. Nie posiadając numeru telefonu kierowcy, staram się nawiązać z nim kontakt za pośrednictwem hotelu, który zaaranżował nasz transport, co okazuje się być trudne wobec problemów z zasięgiem sieci komórkowej. Przyglądając się moim staraniom, nasz gospodarz (który później okazał się być emerytowanym wojskowym) sugeruje mi zadzwonić po policję. Początkowo traktuje tę propozycję jako żart. Dopóki pan Subakat nie wyjaśnia mi swego pomysłu: "Możemy zadzwonić po policję, a oni zablokują drogę, zatrzymają samochód i każą kierowcy oddać okulary. Ja odbiorę je jutro rano." Patrzę na niego jak zamurowany. "Żaden problem" - dodaje z uśmiechem - "to moi przyjaciele." Na szczęście, kierowca odebrał jednak telefon i wkrótce miałem swoje okulary z powrotem, bez potrzeby stawiania na nogi lokalnych stróży prawa.

Po relaksującej nocy w małym przydrożnym hotelu w Banyuwangi, zaledwie parę kilometrów od terminalu promowego, pośród cudownych widoków wschodu słońca nad cieśniną, następnego ranka ruszamy na Bali. Stary prom chińskiej produkcji płynie powoli na drugą stronę, manewrując ostrożnie w poprzek fal. Zejście na ląd na Bali jest już doświadczeniem samym w sobie. W tym miejscu, przekroczenie zaledwie kilkukilometrowej cieśniny jest jednoznaczne z przekroczeniem niewidzialnej linii oddzielającej cywilizacje. Muzułmańska Jawa, wypełniona śpiewem muezinów w przededniu końca Ramadanu, ustępuje miejsca niezliczonym, wściekle kolorowym przydomowym świątynkom, kwiecistym dekoracjom oraz zapachowi kadzideł, właściwym balijskiemu hinduizmowi. Bez trudu znajdujemy lokalny, prosty autobus jadący w kierunku Denpasar. Niestarzejący się, pozbawiony drzwi pojazd, pełen ludzi taszczących swój dobytek, psuje się po półgodzinie podróży. Wszyscy pasażerowie szybko przenoszą się do kolejnego autobusu, który zatrzymuje się by nas zabrać. Życie.

Niesamowite, jak wiele potrafi pomieścić tak mała wyspa. Bali ma swoje tłumne Denpasar, z międzynarodowym lotniskiem obsługującym setki tysięcy turystów podążających do światowej klasy resortów w Kucie. Tragiczne wspomnienia islamistycznych zamachów terrorystycznych z 2002 i 2005 roku zdają się szybko błędąć. Słynne oceaniczne fale czynią z Kuty Mekkę dla surferów z całego świata. Bogate w morską florę i faunę rafy koralowe doprowadziły do rozwoju turystyki morskiej, podczas gdy kolorowe życie nocne w Legian pomaga utrzymać wrażenia na wysokim poziomie jeszcze długo po zachodzie słońca. A jest jeszcze Ubud, z dala od skomercjalizowanego wybrzeża, pełne świątyń, pałaców i artystycznej bohemy, rozciągniętych pośród niewiarygodnie zielonych i malowniczych pól ryżowych, wyglądających jak obrazy z bajki. Bezsprzecznie, Bali potrafi oczarować każdego. Wciąż jednak są miejsca na tej wyspie, jak choćby ten krótki odcinek plaży pomiędzy

resortami a lotniskiem, gdzie zwykli Indonezyjczycy wypoczywają na piasku, podczas gdy młode pary znajdują chwile prywatności, w ciszy obserwując lądujące i startujące samoloty.

Nasza pogoń za ponadczasowością zabiera nas dalej na wschód, do trzech wysepek leżących u wybrzeża Lomboku - Wysp Gili. Te płaskie, piaszczyste skrawki lądu, otoczone jednymi z najwspanialszych koralowych ogrodów Azji, przyciągają tych, którzy poszukują paru nocy z dala od dróg, skuterów, nocnych klubów i tłumów. Na Gili jest wprawdzie sieć komórkowa, internet czy pojedyncze bankomaty, ale wyspy te wciąż (i na szczęście) odbiegają znacznie od balijskich standardów rodzinnych i imprezowych wczasów dla ludzi z Zachodu. Betonowe fundamenty czy rozrzucone gdzieś tam ruiny są wciąż widocznymi bliznami po tsunami, jakie nawiedziło rozległe wybrzeża Oceanu Indyjskiego w 2004 roku. Odwiedzający zatrzymują się w bambusowych bungalowach i spędzają dni na plaży, pokrytej miejscami wrakami łodzi rybackich, w których dziś bawią się miejscowe dzieci. Wieczorem islamski duchowny (cienka linia cywilizacji znów została przekroczona), prowadzi przez wioskę procesję wiernych, przy okazji dostarczając rozrywki turystom. I to niebo pokryte niezliczonymi gwiazdami. Łatwo zapomnieć o otaczającym świecie. Przynajmniej do czasu, kiedy następną łódź motorowa przyplynie kolejnego dnia.

Ambicji żadnego prawdziwego podróżnika nie zaspokoją jednak dobrze znane szlaki Jawy czy Bali. Nasze pragnienie przygody chcemy zaspokoić skręcając tym razem na północ, ku Sulawesii. Kiedy nasz samolot podchodzi do lądowania w Makassar, już wiemy, że opuściliśmy "centrum" Indonezji, kierując się ku jej bezkresnej prowincji. Za oknem wciąż rozpościerają się pola ryżowe, ale tym razem towarzyszą im również szersze połacie lasu, gór czy wręcz zwykłego pustkowia. Nowoczesne lotnisko z olbrzymim pomnikiem jednego z bohaterów narodowych trzymającego w uniesionej dłoni maczetę (którego widziałem zresztą nieraz w innych indonezyjskich miastach) jest w zasadzie anomalią pośród ogólnie peryferyjnego smaku Makassar: bramy do gór, lasów i niesamowitych ludów tej magicznej wyspy.

Makassar przypomina nam raz jeszcze o pozornie zapomnianym kolonialnym dziedzictwie kraju. Zapomnianym, bo Holendrzy nie zostawili wiele po sobie: zgoła nikt w Indonezji nie mówi już w ich języku (i w praktyce nigdy nie posługiwano się nim tu na szerszą skalę), ich architektura ogranicza się do rzadkich posterunków wzniesionych przez żołnierzy i kupców, a wszelkie uczucia wobec poprzednich władców kolonialnych zdają się tonąć w powszechnej fali patriotyzmu czy wręcz nacjonalizmu. W przededniu święta niepodległości Indonezji, ulice były pełne sprzedawców oferujących narodowe flagi oraz czerwono-białe dekoracje, które miały wkrótce pokryć ulice, domy czy samochody. W szkołach uczniowie i rozmaite organizacje młodzieżowe ćwiczyły paramilitarne parady planowane na świąteczny dzień. Czuje się to poczucie przywiązania, autoidentyfikacji, czy nawet prostego entuzjazmu, właściwe młodej demokracji, tak podobne do scen, których byłem świadkiem w Tajlandii czy Malesji zaledwie rok wcześniej.

Makassar utknęło gdzieś pomiędzy szybko rozwijającą się Jawą i dzikimi, wiejskimi peryferiami kraju. Największe centrum handlowe w mieście, *Trans Studio*, oferuje drogie wyroby znanych zachodnich marek (co prawda znacząco już niemodne). Bardziej tradycyjna dzielnica portowa, leżąca nad jedną z najbardziej zatłoczonych dróg morskich świata, również mieści ładne restauracje czy food court'y w stylu zachodnim. Tymczasem najwyższej

oceniana restauracja, wg Lonely Planet, okazuje się być ni mniej, ni więcej, tylko wielkim barem pełnym miejscowych, zanurzonych w chmurach dymu z papierosów i grilla. W takim mieście, jak Makassar, nie jest to niczym zaskakującym. A podawane tam ryby i owoce morza były wprost przepyszne.

Prawdziwe skarby Sulawesi kryją się jednak głęboko w gąszczu jej gór i lasów. dzień drogi samochodem na północ leży Tana Toraja, kraina chrześcijańskich konwertytów, którzy do dziś żyją w harmonii ze swoim tradycyjnym kultem przodków. W centrum ich religii leży ceremonia niezwykle wystawnego pogrzebu, mającego zwykle miejsce w sierpniu, zaraz po żniwach. Pogrzeb, w którym mamy szczęście uczestniczyć, jest specjalnym rytuałem upamiętniającym ponad osiemdziesięcioletniego mężczyznę, który zostawił po sobie dwie żony i z tuzin dzieci. Według zwyczaju Torajów, jego zwłoki przetrzymywano w formalinie przez rok, dopóki jego rodzina nie uzbierała wystarczająco dużo pieniędzy na pogrzeb. Warto bliżej przyjrzeć się zdumiewającej logice tego, co na pierwszy rzut oka wygląda na prawdopodobnie jeden z najbardziej osobliwych rytuałów znanych ludziom.

Toradżowie są niezwykle towarzyskim ludem. Ich subregionalna gospodarka zależy głównie od rolnictwa. Jednakże wobec trudnych warunków górskiego klimatu, rzadko kiedy udaje im się osiągnąć plony pozwalające na zadowalający eksport płodów rolnych (co ma szansę się zmienić dzięki wprowadzeniu nowych odmian ryżu, łącznie z tymi modyfikowanymi genetycznie, jaki pokazywano nam na polach). Ta sytuacja warunkuje względnie zamknięty charakter ich społeczności. Być może Toradżowie nie są zauważalnie biedni, ale ich bambusowe chaty, stare samochody czy bardzo prosty sposób życia wskazują, że ci ludzie nie mogą sobie na wiele pozwolić.

A jednak, ceremonia pogrzebowa, jakiej przyglądaliśmy się w wiosce nieopodal Makale wyglądała jak huczna manifestacja bogactwa - oczywiście według standardów wiejskich. Toradżowie mają w zwyczaju wnoszenie tymczasowych wiosek, aby zgromadzić wszystkich żałobników w jednym miejscu. Setki gości zasiadają na ziemi w zaimprovizowanych chatkach, każdy w kolejności warunkowanej przez swój status społeczny. Jako że jest to pogrzeb mężczyzny "z wyższej klasy", sednem ceremonii jest barwna i hałaśliwa procesja z trumną, przenoszona w specjalnie zaprojektowanym sarkofagu, przypominającym chaty Toradżów w kształcie łodzi. Członkowie najbliższej rodziny zmarłego noszą piękne białe suknie i tuniki, podczas gdy mistrz ceremonii i jego pomocnicy są ubrani w najbardziej nietypowe stroje, przywołujące na myśl historie o papuaskich łowcach głów czy północnoamerykańskich Indianach. Znalazło się nawet miejsce dla luterańskiego pastora, który głosi kazanie o życiu i śmierci. Szybko jednak ustępuje miejsca żywiłowemu wodzirejowi, który przez megafon zaordynuje hałaśliwe i zaskakująco radosne procesje, tańce, figle. Potem następuje rytualny ubój 12 bawołów i kilkudziesięciu świń, trwający w sumie kilka dni, oraz prawdziwa uczta dla wszystkich gości, reprezentujących wszystkie klany, sąsiadów, przyjaciół czy znajomych. Podczas gdy sarkofag trafia na miejsce swego wiecznego spoczynku, zwisając ze skały lub pogrążając się w jaskini, mięso zabitych zwierząt jest dzielone pomiędzy wszystkie grupy obecne na pogrzebie, według ich związków ze zmarłym. Jako że każda rodzina czy grupa przyniosła coś od siebie na ceremonię, można zaryzykować stwierdzenie, że Toradżowie nie hodują swoich bawołów i świń dla siebie, ale raczej chowają je na czyjś pogrzeb. Sposób, w jaki mięso jest następnie rozdzielane, wskazuje jak ten szczególny rytuał legitymizuje

podziały klasowe w społeczności, gromadzi ludzi oraz uczy ich dzielenia się. Tak bardzo jest to odległe od dzisiejszej rzeczywistości skomercjalizowanej globalnej wioski.

Być może kluczem do zrozumienia tego różnorodnego kraju jest szacunek i akceptacja dla niepowtarzalnego sposobu bycia tych ludzi. Być może najbardziej zapadającym wspomnieniem z Indonezji nie powinny być krajobrazy czy piękno natury, ale raczej te wszystkie uśmiechnięte twarze wielkodusznym Indonezyjczyków, jakich napotkaliśmy na naszej drodze. Podczas gdy ich gospodarka rośnie szybko, kraj cały czas leży daleko od wielu naszych zachodnich standardów. Mimo to, ci ludzie zdają się na to nie zważać. Doświadczwszy już podobnych wrażeń w innych państwach regionu, mogłem zatem w pełni delectować się pewną drobną sceną podpatrzoną w ulicznym barze w Singapurze, ostatnim przystanku naszej wyprawy. Mężczyzna siedzi na swoim skuterze, zaraz przy stolikach, paląc papierosa, obserwując ludzi czy wpatrując się w nocne niebo. Powolne życie, bez zbędnego pośpiechu. Jak gdyby czas nie miał znaczenia, a post-nowoczesność nie wywierała żadnego nacisku. Wspaniała Indonezja. Fascynująca Południowo-Wschodnia Azja.